

Miałam w ostatnich dniach okazję obejrzyć trzy przedstawienia — bardzo różne i bardzo podobne zarazem. Z jednego kręgu sztuki inscenizacyjnej: spektakle integrujące scenę, czy raczej miejsca akcji scenicznej z widownią. Spektakle bardzo nowoczesne w formie, bardzo nietypowe i bardzo ciekawe. Oto one: „Nadobnie i koczkodany” Witkacego w kantorowskim teatrze „Cricot 2” — w Krzysztoforskiej piwnicy, „Ubu król” Jarry’ego, przedstawienie dyplomowe PWST w reżyserii prof. Jerzego Jarockiego i oprawie plastycznej Kazimierza Wiśniaka — w salce przy ul. Warszawskiej (przedstawienie stanowiące bez wątpienia najwybitniejsze wydarzenie naszego sezonu teatralnego — obok wielkiej inscenizacji „Dziadów”) i „Miłość w Wenecji” włoskiego anonima z XVI w. spektakl przyrządzony przez młodego reżysera — Włocha Giovanniego Pampiglione w małej sali Teatru im. Sol-skiego w Tarnowie.

O przedstawieniach dyplomowych naszej uczelni teatralnej miałam już niejednokrotnie możliwość pisać jako o wybitnych osiągnięciach artystycznych. Szokujący może nieco „teatr niemożliwy” Kantora, reprezentujący arcyciekawą robotę teatralną i — wbrew pozorom — intelektualną, też ma już wyrobioną markę. Natomiast tarnowska „Miłość w Wenecji” stanowi prawdziwe zaskoczenie. Tego typu inscenizacji Teatr im. Sol-skiego dotąd nie pamięta. Nowy spektakl raz jeszcze dowodzi, na jak ciekawej drodze

Krystyna Zbijewska

Miłość w Tarnowie

rozwoju znajduje się w tej chwili ta placówka, jak wiele można jeszcze po niej oczekiwać.

Już sama pozycja repertuarowa jest wydarzeniem: prapremiera światowa — po włoskiej ojczyźnie — anonimowego utworu XVI-wiecznego „Wenecjanka” (granego tu jako „Miłość w Wenecji”), specjalnie tłumaczonego dla tarnowskiego teatru przez Jerzego Adamskiego. Tłumaczonego pomyślnie, bo w stylizacji, nie — jak należałoby się spodziewać — na staropolszczyznę, lecz na żywy, codzienny, dzisiejszy język, naszpikowany potocznymi wyrażeniami młodzieżowej gwary.

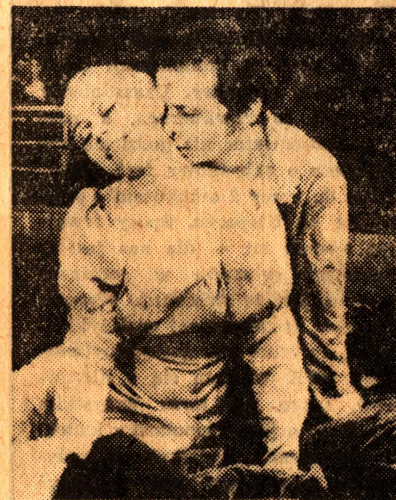
Włoska krotkowiła nieznanego autora to zabawny obraz przygód miłosnych młodego cudzoziemca, goszczącego w Wenecji, której dwie nadobne mieszkanki zapętały doń nagłą namiętnością. Rozpasanie zmysłowe (chuć — jakby powiedział Przybyszewski) obok wzniosłych słów, a miejscami nawet nutki poezji; rubaszność obok finezyjnego dowcipu i farsowości typu commedia dell’arte, której „Miłość w Wenecji” jest jakby zapowiedzią. Skrzyżowanie boccaciovskiego „Dekameronu” z „Żywotami pań swawolnych”; jurności włoskiego renesan-

su z lekkością klasycznego esprit francuskiego, a zarazem przebiegami rodzimego humoru spod znaku rejon-skich fraszek.

Materiał do roboty teatralnej równie ciekawy, co trudny, zmuszający inscenizatorów do balansowania wśród zasadzek grubiaństwa, wulgarności, czy wręcz pornografii. Tarnowscy realizatorzy „Miłości” wyszli z zasadzek owych obronną ręką. Stworzyli spektakl lekki, zabawny, ani przez moment — mimo mocnych słów i odważnych sytuacji — nie przekraczający granicy przyzwoitości, kultury, dobrego humoru i dobrego smaku. Zasluga to przede wszystkim reżysera: debiutującego na tarnowskiej scenie, absolwenta warszawskiego wydziału reżyserii, młodego Włocha, Giovanniego Pampiglione. (On również, rzecz jasna, „odkrył” utwór dla polskiej sceny.) Gdyby jeszcze nie usiłował w tej scenicznej zabawie szukać moralnego usprawiedliwienia dla bohaterki sztuki, których tyrady miłosne traktuje zbyt poważnie — spektakl byłby w pełni jednolity, wyrównany aktorsko; wyśmienity.

Świetny jest mimo tego. Pełen zaskakujących pomysłów scenicznych

(bohater w kąpielii), ciekawych rozwiązań inscenizacyjnych (wieloplano-wość i wielopłaszczyznowość gry — scenografia Jana Polewki), zabawnych chwytów muzyczno-onomato-



Fot. T. Płaszewski
 Jedna ze scen „Miłości w Wenecji”:
 J. Lesiak — Angela i K. Stroński —
 Julius.

peicznych (muzyka: Zygmunt Konieczny, gra na skrzypcach: Walenty Kwapniewski). Inszenizację wspierają aktorzy. Tu przede wszystkim ciepłe słowo pod adresem młodego wykonawcy głównej roli: cudzoziemca Julia — Krzysztofa Strońskiego (pamiętnego Ksawcia z tarnowskiego „Turonia”), który w „Miłości w Wenecji” wykazał równą dozę scenicznej kultury i dowcipu, co instynktu, a może już wyrobienia aktorskiego w finezji gestu, mimiki, modulacji głosu. Uroczą to rolę, pozwalającą młodemu aktorowi rokować piękną sceniczną karierę. (Niestety, opuszcza on już w nowym sezonie Tarnów.)

Sekundują młodemu aktorowi starci koledzy. Wiesław Tomaszewski jako gondolier Bernardus jest arcyzabawny, naturalny w swej rubaszności, bez cienia szarży. Bardzo ciekawie wywiązują się ze swych ról arcyżerek miłosnej zabawy Janina Bula-wianka i Lidia Holik-Gubernat, która powagą swej twarzy przydaje pikanterii „amoralnym” scenom. Dwie Wenecjanki (Jadwiga Lesiak i Elżbieta Eysymont), jako się rzekło, zbyt zasadniczo potraktowały swe role, które — choć same w sobie poprowadzone interesująco — odbiegały wyraźnie od całości nastroju przedstawienia.

Nie zmienia to jednak stwierdzenia wstępnego, że tarnowska „Miłość w Wenecji” jest spektaklem ciekawym, zabawnym i dobrze by było, gdyby obejrzał go mogli również widzowie krakowscy.